

DZIWNY ŚWIAT

Niebo na tej planecie było zielonkawofioletowe, czyste i zadziwiająco głębokie. Pod wieczór pojawiały się na nim lekkie bursztynowe obłoczki. Małe przyćmione słońce chowało się za nimi i na niebieskie równiny kładły się dziwaczne granatowe cienie.

Wszystko tu było obce, dziwne, budzące czujność i niepokój: bezkresne puste równiny i ledwo dosłyszalne sączenie się cichych rzek, tajemnicze trawy z wielkimi, fioletowoniebieskimi kwiatostanami i zagadkowe stworzenia przypominające ziemskie ważki. Pokazywały się o zmierzchu i zbijając się w roje, bezszelestnie krążyły w ciepłym, nieruchomym powietrzu.

— Przylatują tańczyć na naszą cześć — zauważył pewnego wieczoru kapitan.

— Trzeba by chwycić kilka sztuk i zakonserwować w spirytusie — powiedział Loor. Przyłożył szeroką, masywną dłoń do gęstych brwi i uważnie śledził trzepot złocistych skrzydeł. — To oczywiście jakieś owady — dodał uśmiechając się — ale trudno by mi było zaszeregować je do któregoś z ziemskich gatunków.

Veil nie powiedziała nic. Westchnęła tylko cichutko i pomyślała, że znowu mieli szczęście... Tutaj jest prawie jak na Ziemi: tlen i nawet woda. Można chodzić bez skafandra i wdychać odurzające powietrze, przepojone cierpkim zapachem dziwnych traw.

— A jednak są ostrożne — kontynuował Loor, wciąż jeszcze trzymając dłoń nad oczami. — Tańczą nad wodą i nie chcą się zbliżyć. Gdybym tak miał siatkę na długim kijku...

— Zrobisz to potem — powiedział kapitan. — Najpierw trzeba skończyć z remontem. Najważniejsze to gotowość do startu w każdej chwili. Nigdy nie wiesz, co cię czeka na obcej planecie.

— Tutaj nie ma nic prócz tych ważek. Trzeci dzień tylko ważki o zachodzie. Kwiaty i ważki... Niezamieszkana planeta, to zupełnie jasne.

— Jasne... — z powątpiewaniem powtórzył kapitan. — Dla Sherry'ego na szóstej Łabędzia też wszystko było jasne. Tak zdążył zapisać w swoim dzienniku. Kiedy to się zdarzyło, Veil?

— Dwadzieścia lat temu.

— Właśnie. Na rok przed twoim urodzeniem, panienko!

— Tak, ale jeśli wprowadzić poprawkę dla czasu ziemskiego...

— Po co? Czas należy odliczać w tym układzie, w którym się go przeżyło. Ja mam czterdzieści lat, ani roku więcej. Czterdzieści, rozumiesz?... A według rachunku ziemskiego urodziłem się półtora wieku temu. Sherry'emu teraz stuknęłaby sześćdziesiątka...

— W ziemskim układzie odniesienia ja także mam sześćdziesiąt — zauważył Loor. — Moi rówieśnicy dochodzą już podeszłego wieku, a ja...

— A ty zabierasz się do łowienia polnych koników na czwartej Alfa tego Słońca — uśmiechnął się kapitan. — Siatką na długim kijku.

— Można by do tego wykorzystać kompresor służy wejściowej — zaprotestował Loor czerwieniąc się — wciągnąć cały rój do komory dezynfekcyjnej i uśmiercić azotem.

— To wszystko później — w zamyśleniu powiedział kapitan, odprowadzając wzrokiem najbliższą chmurę. Piękne są — dodał — zwłaszcza kiedy promienie słoneczne złocą im skrzydła. Piękne i pełne wdzięku... Ich lot rzeczywiście przypomina taniec. Prawda, Veil?

— Tak...

— Ciekawe, gdzie chowają się za dnia?... Zresztą to nie jest najważniejsze... Zdaje się, że wysiadło nam kilka kondensatorów. Jeśli remont się przeciągnie... — Kapitan pokręcił głową.

— We właściwym czasie nawinęła się nam —ta planeta, co? — Loor mrugnął porozumiewawczo do kapitana. — Chyba „Wicher” nie dociągnąłby do najbliższej stacji?

Kapitan milcząc wzruszył ramionami: patrzył na tańczące ważki. Roje zawisły nad wodą mglistymi kolumnami. Wydawało się teraz, że są nieruchome. Tylko złoście refleksy zdradzały szybkie ruchy tysięcy przeźroczystych skrzydeł.

— Właściwie nie wiadomo, co wydarzyło się Sherry’emu i jego towarzyszom — półgłosem, jakby mówiąc do siebie, zaczął kapitan. — Na szóstej Bety Łabędzia także odkryli jakieś owady. Sherry nie napisał, co to były za owady. Entomologia nigdy go nie interesowała. Uznał planetę za niezamieszkaną. Czy nie tak, Veil?

— Tak...

— Za niezamieszkaną — powtórzył kapitan, nie odrywając wzroku od tańczących rojów — i ekspedycja ratunkowa, która wylądowała tam po kilku miesiącach, rzeczywiście nie znalazła żadnych śladów życia, nie znalazła także roślin i owadów, które opisane były w dzienniku Sherry’ego... Jego Statek zasypany był piaskami pustyni...

Mgliste chmury owadów zbliżyły się i zaczęły powoli sunąć jedna za drugą, tworząc gigantyczny korowód wokół statku.

— Najwyraźniej nas okrążają! — krzyknął Loor. — Uciekajmy lepiej do rakiety.

— Dopiero co zamierzałeś łowić je siatką — w głosie kapitana zabrzmiała drwina.

— Jesteśmy bez hełmów — próbował usprawiedliwić się Loor — i nasze kombinezony też nie są niezawodne.

— Może włączyć siłowe pole ochronne wokół statku? — zaproponował kapitan.

— Po co? — Veil gwałtownie potrząsnęła głową, odrzucając spadające na czoło włosy. — One nie próbują się zbliżyć. Po co je straszyć?

— Mówisz tak, jakbyś uważała je za istoty rozumne — z przekąsem zauważył Loor, cofając się do włazu śluzy wejściowej. — A jeśli nagle przyjdzie im ochota rzucić się na nas i jeśli... są jadowite?

— Otóż właśnie, moje dzieci — wtrącił kapitan — jeżeli, jeżeli... Sto tysięcy „jeżeli”... Dlatego idźcie do środka i nałóżcie hełmy, jeżeli... jeżeli macie zamiar pozachwycać się zachodem.

— A pan? — podejrzliwie zapytała Veil.

— Ja pooddycham jeszcze trochę tutejszym powietrzem i pójdę za waszym przykładem. Idźcie...

Loor i Veil posłuchali bez słowa.

Kiedy wrócili, kapitana na mostku już nie było. Lekka metalowa drabinka opuszczona była do samej ziemi.

— Poszedł! — krzyknęła zdenerwowana Veil. — O tej porze? Słońce zupełnie nisko. Za kilka minut będzie ciemno.

— Ale one też zniknęły — zauważył Loor, rozglądając się wokół. — Patrz, ani jednego roju...

— Dziwne. Gdzie on mógł pójść i po co?

— Jest kapitanem — Loor wzruszył ramionami — i nie ma obowiązku nam się tłumaczyć.

— Ale paragraf dziewiąty regulaminu ekspedycji pozaziemskich — nie ustępowała dziewczyna — mówi, że kapitan nie może...

— Tak, tak — dobiegło z dołu. Roztrącając rękami elastyczne niebieskawe łodygi, kapitan powoli szedł w stronę statku.

— Veil, Loor! — krzyknął dobrnąwszy do płaszczyzny, na której trawa wypalona była dyszami „Wichra” — schodźcie... Ważki zniknęły. I widziałem, jak to się stało. Ale nie wiem, co o tym sądzić...

Veil szybko ześliznęła się po ażurowej drabince. Znalazłszy się na dole, odrzuciła z głowy przeźroczysty hełm, który opadł jej na plecy jak kaptur od peleryny.

— Schowały się w trawie?

— Niezupełnie.

— Odleciały?

— Nie...

— Chowają się w ziemi, to oczywiste — powiedział Loor podchodząc bliżej. — Powinny mieć nory głęboko pod korzeniami traw...

— Ja też tak myślałem. — Wzrok kapitana skierowany był ponad głowę Veil, w ciemniejącą dal na wschodzie, skąd nadciągała noc. — Ale one nie weszły pod ziemię — rzekł kapitan po chwili milczenia. — Pograżyły się w wodę... Wszystkie naraz, jak na komendę. Dziwne, nieprawda?

— Gdzie mianowicie?

Kapitan wskazał ręką za siebie. — W bliższe jezioro, w dalsze, w rzece, która łączy obydwie jeziora. Nie zdążyłem się obejrzeć, jak wszystkie zniknęły.

— Jasne — skinął Loor. — Oto przyczyna ich nieoczekiwanego pojawiania się i błyskawicznego znikania. Wokoło nas jeziora, setki jezior. No cóż, całkiem naturalne, podejrzewałem coś w tym rodzaju.

— Ależ, dopiero co twierdziłeś coś innego — uśmiechnął się kapitan. — Zresztą to nieważne. Jutro wieczorem prześledzimy ich pojawienie się, jeśli oczywiście... — nie dokończył.

— Jeśli co? — szybko spytała Veil.

— Jeśli zechcą jeszcze raz nas odwiedzić.

— Bzdura. — Loor lekceważąco machnął ręką. — To prawidłowość, normalne zjawisko. Żyją w środowisku wodnym i tylko o zachodzie słońca unoszą się w powietrze.

— Rozprostować skrzydła, czy tak? — zakpił kapitan. — Rozprostować skrzydła i potrenować przed ponownym pogrążeniem się.

— Jutro rano wyłowię kilka sztuk z pobliskiego jeziora.

— Przy pomocy siatki na długim kijku?

— Czemu by nie? Można również zejść pod wodę w skafandrze.

— Co było widać w wodzie, gdy roje się zanurzyły? — spytała Veil, uważnie patrząc na kapitana.

Nie odpowiedział od razu. Jakby się zastanawiał, czy to powiedzieć.

— Było coś widać? — nalegała dziewczyna.

— Nnie... nic... Woda jest bardzo ciemna od domieszek żelaza i próchnicy. Słońce było nisko, i powierzchnia jeziora błyszczła oleiście. Roje wpadały do wody i zniknęły... Nic więcej nie widziałem...

— Jutro... — zaczął Loor.

— Jutro powinniśmy przede wszystkim zakończyć remont — twardo powiedział kapitan. — Wszystko inne później...

Zostawszy sama, Veil długo nie mogła zasnąć: leżała, bezwiednie nasłuchując. Drzwi z kabiny na korytarz uchylone. W korytarzu półmrok i cisza. Ledwo dosłyszalnie pobrzękują ekrany łączności wewnętrznej. W centralnej maszynowni jest teraz Loor. Dziś jego nocna wachta. Loor poszedł na stanowisko dowodzenia od razu, gdy tylko weszli na pokład „Wichra”.

„Jaka dziwna planeta — myśli Veil — tlen, woda, a tylko kwiaty i ważki... A może to nie są ważki?...”

Kapitan zrobił trzy okrążenia, zanim „Wicher” wylądował. Ze statku widać było tylko puste, niebieskawo—fioletowe równiny, nie kończące się równiny i połyskujące wstęgi rzek. I ocean opasujący planetę wzdłuż równika. Ani gór, ani lasów, ani śladu sztucznych budowli... Tylko równiny i spokojna tafla oceanu. Początkowo kapitan chciał osadzić

„Wichra” na brzegu, ale potem wybrali krainę jezior położoną w średnich szerokościach... „Nie tak gorąco i bezpieczniej — powiedział kapitan — nigdy nie wiadomo, co kryje się w oceanie...” Zniżając się, schodzili do lądowania nad ogromnymi przestrzeniami równin. Ani jednego wzniesienia, ani jednej żywej istoty na setki mil wokół... I tutaj także — cisza, pustka, tylko te ważki o zachodzie...

Z pewnością odkryli zupełnie nową planetę, jeżeli, naturalnie, nikt nie zdążył przybyć w ciągu tych ziemskich lat, które upłynęły od chwili ich startu. Ośmiomiesięczny lot „Wichra” — to prawie cztery ziemskie lata. Veil unosi się, potrząsa głową. Gdyby została na Ziemi, miałaby już dwadzieścia dwa lata. Mimo wszystko trudno się przyzwyczaić: miesiące lotu — to lata, dziesiątki lat na Ziemi. Wracasz i znajdujesz się w przyszłości... Łatwo to wyrazić językiem formułek, ale tak trudno pojąć, zostając sam na sam z sobą... Rówieśnicy dziecięcych zabaw zestarzeją się i odejdą, a ty... Wygrana to, czy strata?

Twoje życie na Ziemi rozciąga się na setki lat, ale jest ono jak gdyby linią przerywaną: powroty — jak oddzielne kadry filmu, nie związane jeden z drugim. A między nimi zatrzymany czas, zamknięty w ciasnych ścianach gwiazdnego statku. A takie planety jak ta należą do rzadkości — Veil cichutko wzdycha. — Tyle już było lądowań... I wszędzie tylko kamienne, pozbawione powietrza pustynie z czarnym niebem i wściekłym blaskiem oślepiających, kosmatych słońc. Kapitan lata dziesiątki lat, ale i dla niego jest to bodaj czwarte lądowanie na planecie, gdzie można opuszczać statek bez skafandra.

Veil nie od razu zdaje sobie sprawę, że cicha muzyka, dźwięcząca już od kilku minut, jest jej nie znana.

„Jak to miło ze strony Loora: domyślił się, że nie śpię i włączył jakąś nową taśmę. Zapewne któryś z dawnych kompozytorów?... A może nie... Muzyka taka niezwykła, groźna i śpiewna...”

Veil jest teraz przekonana, że nigdy nie słyszała tej melodii. A sądziła, że dobrze zna całą taśmotekę „Wichra”. Kilka chwil dziewczyna przysłuchuje się uważniej. A jednak w muzyce jest coś wzruszająco znajomego, jak niedawne wspomnienie... ten powtarzający się motyw. Co to jest? I nagle Veil aż drgnęła oślepiąca: oczywiście, jakżeż mogła się nie domyślić od razu? Muzyka opowiada o planecie — tej, za burtą „Wichra”...

Teraz dźwięki zaczynają przekształcać się w widzialne obrazy o niebywalej ostrości i plastyczności: w bezkresną dal płyną rozkwiecione równiny, tam gdzie błękit traw zlewa się z bładofioletową obwódką nieba. Jasne obłoki rzucają dziwaczne cienie na zielonkawoliliowe tafle krystalicznych jezior. Na spotkanie słonecznym promieniom otwierają się kielichy niezwykle jaskrawych kwiatów. Srebrzysta wieża wznosi się samotnie wśród niebieskich równin. To „Wicher”. Veil widzi go z daleka, jak gdyby była teraz nie w swojej ciasnej kabinie wewnątrz statku, a na zewnątrz — sama pośród pustych równin. Ale nie — nie jest sama. Wokół niej jakieś postaci w fioletowobłękitnych strojach. Veil zaczyna się bać. Kto to, te milczące istoty? Ludzie? Veil stara się dojrzeć ich twarze i nie może. Są tak blisko, stoją — wystarczy wyciągnąć rękę... Ale dziwna mgła przesłania oczy, gdy tylko próbuje się skoncentrować.

„Jak we śnie — myśli Veil — jaka dziwna muzyka! Przecież wiem, że to tylko muzyka i przywołane nią obrazy świata za burtą. Muzyka, która wywołuje halucynację.”

Veil chce się uwolnić spod władzy tej melodii, by znowu poczuć wokół siebie znajome ściany kajuty. Ale to niełatwe. Muzyka ciągnie w nieznaną da!. „Wicher” pozostał gdzieś daleko w dole. Veil szybuje nad równinami coraz wyżej, wyżej... Deseń rzek zamienia się w cieniutką pajęczynę. Potem wszystko tonie w kołyszącej się niebieskiej mgle.

— Dość już, nie chcę, dość! — krzyczy Veil, natężając wszystkie siły, żeby wyzwolić się spod władzy niezwykłej muzyki.

Mgła rozwiera się powoli. Veil widzi znajome ściany kabiny. Drzwi na korytarz lekko uchylone. Miękki półmrok, cisza...

„Czyżby to był sen? — myśli. — Jaki dziwny sen...”

Ale nie... Muzyka, wciąż ta sama muzyka dobiega z daleka. Veil zaczyna przysłuchiwać się, i melodia narasta, jakby się przybliżała. Nie sposób rozeznąć się, gdzie mieści się źródło dźwięków. Ekran y łączności wewnętrznej są teraz wyłączone. Być może Loor zostawił otwarte drzwi maszynowni? Muzyka to cichnie, to znów się nasila. Wydaje się, że dobiega z korytarza. Dziwne tylko, że dźwięczy głośniejsz, gdy tylko skupić się na niej. A może to mimo wszystko halucynacja? Lub jakiś figiel Looora?

Veil zdecydowanie wstaje. Owinąwszy się kołdrą, bezszelestnie wychodzi na korytarz. Cicho wspina się jego spiralami. Rzeczywiście drzwi do centralnej maszynowni są otwarte. Ale muzyki już nie słyszeć. Podkrađa się do samego wejścia i ostrożnie zagłąda do sali. Loor siedzi plecami do drzwi przed głównym pulpitem sterowniczym, podparłszy głowę rękami. Zamyślił się, czy drzemie?

„Udaje” — decyduje Veil.

Kilka bezszelestnych kroków i klaszcze głośno w dłonie nad samą głową Looora. Loor podrywa się gwałtownie, odwraca, w oczach ma przerażenie. Przestraszona zamienia się w wyraz niezadowolenia.

— To ty? — mówi ostro. — Co za głupie żarty. Nie dosyć, że twoja muzyka przeszkadza mi w pracy...

— Moja muzyka?... Pracować?... — Veil jest zdumiona.

— Oczywiście. Przygotowuję program pewnej operacji. — Loor wskazuje głową na maleńkie kolorowe wykresy, rozłożone przed pulpitem. — A ty, gdy słuchasz muzyki, mogłabyś pomyśleć o towarzyszach.

— Więc pomyliłam się? — Veil ciągle jeszcze nie może w to uwierzyć. — To znaczy, że nie ty wyłączyłaś przed chwilą te nagrania.

— Jakże znowu nagrania?

— Jakaś symfonia... A może nie symfonia... Nigdy przedtem nie słyszałam jej i nie wiedziałam, że ją mamy.

Zmrużywszy wzrok, Loor patrzy pytająco w oczy Veil. Potem bierze ją za rękę.

— Co ty takiego wymyślasz? Znów mnie zwodzisz? Chcesz, przyjdę do ciebie po wachcie...

— Nie! — Veil wrywa energicznie rękę. — Naprawdę nie włączałaś teraz żadnej taśmy?

— Słuchaj, Veil, znudziło mi się to — zdenerwował się Loor. — Czego ty ode mnie chcesz?

— Daj słowo, że niczego nie włączyłaś przed moim przyjściem...

— Co z tobą, Veil? — głos Looora znów robi się miękki. — Zdaje się, że naprawdę jesteś zdenerwowana, wystraszyłaś się. — Próbuje przyciągnąć ją do siebie.

— Nie — Veil odsuwa się — wcale się nie wystraszyła. Ale nie odpowiedziałam na moje pytanie.

— Czyż nie ty sama włączyłaś przed chwilą jakąś taśmę? Słyszeć było ją w całym statku. Coś ty w niej znalazła? Obrzydliwa muzyka.

— To znaczy, nie włączałaś, ale słyszałaś.

— Już powiedziałem — Loor rozkłada ręce. — Siedziałem i zatykałem uszy. Już chciałem iść zwymyślać ciebie, ale przyszłaś sarna.

„Dziwne” — myśli Veil. — A może kapitan? — mówi głośno.

— Kapitan? — śmieje się Loor. — On dawno śpi. Spójrz. — Loor włącza jeden z ekranów łączności wewnętrznej. — A nadto nikomu z nas trojga, prócz ciebie, nie przyszłoby do głowy zachwycać się taką kakofonią.

— Kakofonią?

— Oczywiście. To nie była muzyka, a ponure wycie, bez melodii, z jakimś spazmatycznym rytmem. Zdaje się, że sto lat temu —na Ziemi tworzyli podobną. Dziwię się twojemu gustowi.

„Czyżby jednak halucynacja? — myśli Veil. — Dawniej nigdy nic podobnego nie zdarzyło się, dopiero tutaj...”

— Chyba pójdę — mówi niezdecydowanie.

— Możesz zostać — Loor wzrusza ramionami — nie przeszkadzasz mi. A może jednak po wachcie?...

— Nie, nie — szybko przerywa Veil. — Idę spać.

— Dziwne — powiedział przy śniadaniu kapitan — bardzo dziwne. W tym samym czasie słyszeliście coś zupełnie różnego. Trzeba było mnie obudzić.

— Ale to się nie powtórzyło. Po rozmowie z Loorem nic więcej nie słyszałam.

— Ja też nie — przytaknął Loor.

— A przyrządy niczego nie zarejestrowały?

— Wszystko było normalnie.

— Hm... trzeba szybko kończyć remont.

— Jakies słuchowe halucynacje, czyż nie? — Veil pytająco spojrzała na kapitana.

— Sądząc z twojego opowiadania, nie tylko słuchowe. Dziś w nocy jest moja wachta. Sprawdzimy. A teraz do roboty.

— Może rozpocznie pan razem z Veil — Loor zawstydzony przygryza wargi — a ja spróbowałbym schwytać kilka sztuk tutejszej fauny. Wyłowić je z wody oczywiście nie będzie trudno. Ja w mig... A nuż się wieczorem nie pojawią? A jutro już być może...

— Pójdziemy później razem — głos kapitana zadźwięczał oschle. — Najpierw remont, potem ważki...

— Ja bym ich wcale nie ruszała — w zamyśleniu powiedziała Veil.

— Nic o nich nie wiemy... Nic...

— A to nowość — Loor z trudem powstrzymuje wzburzenie. — Jesteśmy badaczami. Dobrzy z nas byliby uczeni, gdybyśmy odlecieli stąd z pustymi rękami. Na Ziemi, w Centralnym Muzeum Kosmicznym, wystawione są kolekcje zebrane przez czterdzieści gwiazdnych ekspedycji. Jeśli wszyscy uczestnicy tych lotów myśleliby tak samo jak ty, nie warto byłoby marnować ludzkiego trudu i kolosalnych środków na wyposażenie tych wypraw.

— Ale oni wyprawiali się nie po to, żeby zwozić na Ziemię wszystko, co wpadnie w rękę na innych planetach. Badać, to nie znaczy niszczyć, mieszać się prawem silniejszego w obcy nam porządek rzeczy. Zanim zaczniemy zabijać azotem, promieniowaniem, polami, których energią zawładnęliśmy, trzeba wiedzieć, co mamy przed sobą.

— Wspaniale! Oto mowa obrończa w imieniu tutejszych ważek.

— To pierwsze żywe istoty, spotkane przez nas w bardzo długiej drodze. Być może, że są jedynymi mieszkańcami tej planety. W jaki sposób związane są z otaczającym je środowiskiem? Twoje wścibstwo, Loor, może naruszyć jakąś ważną nić w tym harmonijnym, przepięknym świecie. Nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć następstw.

— Niech pan nie zwraca na nią uwagi, szefie — rzekł Loor do kapitana. — Naszą dziewczynę nie na żarty nastraszyła nocna muzyka. Zresztą, taka muzyka mogła nastraszyć każdego. Ale ja zdobędę swoje ważki, i gotów jestem zaręczyć, tutejsze niebo nie spadnie z tego powodu na tutejszą ziemię...

— Być może, że masz i rację — mruczy kapitan wstając od stołu — ale dzisiaj nie wychodzi mi z głowy historia Sherry'ego. Czemuż to? A na szóstej Bety Łabędzia także, najwidoczniej żyły tylko owady...

Remont udało się zakończyć pod wieczór.

— No to wszystko — podsumował kapitan, wyłączając aparaturę kontrolną. — Teraz „Wicher” przygotowany jest na każdą niespodziankę. A ty możesz zająć się swoimi ważkami, Loor, jeśli się jeszcze nie rozmyśliłeś.

— Jak tylko się znowu pojawią... Wykorzystam chyba kompresor śluzy.

— Nie trzeba. Wystarczy ci kilka sztuk, a kompresorem zniszczysz cały rój. Veil nie przebaczyłaby nam takiego okrucieństwa.

Roje pojawiły się przed samym zachodem słońca. I znów nikomu nie udało się uchwycić momentu ich wzlotu. Loor dyżurował na brzegu jeziora, uzbrojony w wielki sak na długim kijku. Kapitan i Veil zostali na górze na wysuwającym mostku „Wichra”.

— Zauważyliście coś? — krzyknęła Veil. — Stąd wydaje się, że powstały po prostu z powietrza.

— W każdym razie nie uniosły się z wody — wymamrotał kapitan. — Śledziłem powierzchnię jeziora. Nie poruszyła się i jest spokojna jak lustro. Może tym razem przyleciały skądś z daleka?

— Ale dlaczego właśnie tutaj?

— Może zwabia je „Wicher”?

Loor biegał wzdłuż brzegu ze swą siatką.

— Niczego nie złowi — powiedział przyglądając się kapitan. — Roje nie dopuszczają go blisko.

Po kilku minutach zadyszany Loor wdrapał się na mostek.

— Beznadziejnie — powiedział, łapiąc z trudem powietrze. — Niezwykle płochliwe. Pozostaje kompresor... Jeżeli, oczywiście, jakiś rój się przybliży.

— A gdyby tak poprobować promieni ultrafioletowych? — Kapitan nie odrywał wzroku od najbliższego roju. — Zdaje się, że dla wielu ziemskich owadów ultrafioletowa część widma jest widzialna. Rozbłyski mogą je zwabić.

— To jest myśl — ucieszył się Loor. — Zostawimy otwartą śluzę wejściową i włączymy źródło silnego promieniowania. A gdy rój się zbliży, resztę zrobi kompresor.

— Może wystarczy jeden ekran pracujący w zakresie ultrafioletowym? Wtedy nie musisz gubić całego roju.

— Czego pan się obawia, kapitanie?

— Rzecz nie w moich obawach. Ale chciałbym zapobiec niepotrzebnej hekatombie.

— Zanim się dogadamy, one znowu znikną.

Kapitan machnął ręką.

— Rób, jak uważasz. W końcu badania biologiczne to twoja dziedzina.

— Wobec tego wchodźcie szybko do statku i nie przeszkadzajcie mi.

— Dlaczego pan mu pozwolił? — w głosie Veil brzmiało zdenerwowanie i wyrzut.

Kapitan milczał, pochyliwszy się nad ekranem obserwacji zewnętrznej. Na ekranie widniała ciemniejąca granatowa równina z bladymi lustrami jezior: niskie pomarańczowe słońce przeświecało przez pasma chmur. Roje już uformowały się w kolumny i okręzały statek.

— Tak jak wczoraj — mówi cicho kapitan. — W tym jest jakiś ukryty sens...

Obrót wizjera. Pole widzenia przesuwają się powoli. Na brzegu ekranu pojawia się srebrzysty korpus statku kosmicznego. Ciemnieje prostokątny otwór otwartej śluzy. Rój wolniutko przepływa nie opodal. Żłocistymi ognikami odbłyskują tysiące przezroczystych skrzydełek.

Rozjaśnia się sąsiedni ekran. Na nim twarz Loora.

— Nie reagują na ultrafioletową pułapkę — wyjaśnia — trzeba wzmocnić promieniowanie.

— Spróbuj — zgadza się kapitan — ale nie doprowadzaj do maksimum.

Loor znika. W polu widzenia głównego ekranu pojawia się nowy rój. Powoli płynie w pobliżu statku. Otwór śluzy wciąż bliżej. Rój minął go.

— Nie — mówi przez zęby kapitan.

W tej chwili zdarza się coś niepojętego. W głębi roju wybuchają jaskrawe iskry. I natychmiast mdło pobłyskujący słup owadów zamienia się w oślepiającą trąbę powietrzną. Siejąc intensywnymi iskrami, trąba wygina się kreto i zwięzającym się dolnym końcem uderza w otwór śluzy.

Cielsko statku gwałtownie drga. Główny ekran ciemnieje i gaśnie. Z zewnątrz, przygłuszony dźwiękoszczelnymi przegrodami, dochodzi ciężki łoskot.

— Co to? — Veil z przerażeniem patrzy na kapitana.

— Włączyła się automatycznie osłona „Wichra”. A to ci ważki! Kto by pomyślał?

— A Loor? Co z nim?

Palce kapitana przebiegają po klawiszach i przyciskach pulpitu. Pojawia się na nim zielonkawy nocny pejzaż. Dogasa blade pasemko zorzy nad samym horyzontem. Jaskrawe gwiazdy rozbłysły w przerwach między obłokami.

— Już noc? — Veil nie może uwierzyć własnym oczom.

— Rzeczywiście, dziwne — mruczy kapitan. — Wydawało mi się... — Pochyla się znowu nad przyrządami. — Nie, wszystko w porządku. Po prostu to trwało dłużej, niż myśleliśmy... Loor — zwraca się w stronę bocznego ekranu — no co tam u ciebie, dlaczego milczysz?

Boczny ekran pozostaje ciemny. Loor nie odpowiada.

— Nie żyje — bezbarwnym głosem mówi kapitan i powoli odchodzi od tapczanu, na którym ułożyli Looa.

— Ale jak?... — Veil wciąż jeszcze nie może pojąć tego, co się stało.

— Nie żyje... Promieniowanie, którym rój zaatakował statek, zabiło go. Osłona siłowa zaczęła działać o jakieś miliardowe części sekundy później, niż należało.

„Niezrozumiałe tylko, dlaczego my pozostaliśmy przy życiu — myśli kapitan. — To promieniowanie nie mogło być kierowane. To znaczy, że i ja i ona — kapitan rzuca spojrzenie na siedzącą na podłodze Veil — przebywaliśmy w polu jego oddziaływania. To jasne... Niemniej jednak on jest martwy, a my żyjemy. Na razie żyjemy.

— Ale jak?... powtarza znowu Veil, nie odrywając wzroku od nieruchomej postaci na tapczanie.

„W dwójkę nie będzie nam lekko — myśli kapitan. — Jeśli, oczywiście, uda nam się stąd wydostać... W istocie winien wszystkiemu jestem ja... ja sam... To ja mu pozwoliłem. Z Sherrym też tak się zaczęło. Najpierw zginął nawigator. Potem... Co to za promieniowanie? Dlaczego osłona „Wichra” zaczęła działać z opóźnieniem? A może opóźnienia nie było? Ale wtedy co wydarzyło się z czasem? Dlaczego nie? Przecież nadejście nocy wydało nam się przedwcześnie... Czas?... Jeśli to czas?... To znaczy... Nie, należy to sprawdzić.”

Kapitan dotyka ręką ramienia Veil.

— Chodźmy, jemu już nic nie pomożemy. Chodźmy. Pomyślmy, co robić dalej. Niech zostanie tutaj. Jutro umieścimy go w kabinie chłodniczej. Być może na Ziemi...

Veil szlocha głośno.

— Nie trzeba płakać, kochanie. Musimy być bardzo silni. Przecież teraz jest nas tylko dwoje... I zanim odlecimy, powinniśmy jeszcze zrozumieć to, co tu się dzieje, jakie tajemnicze siły kryją się za pozorną harmonią tego dziwnego świata.

— Jakie to wszystko niedorzeczne i okrutne...

— Z naszego ludzkiego punktu widzenia — tak... Ale trzeba starać się patrzeć szerzej... Jesteśmy tu przybyszami. Obcymi wszystkiemu. Dziś rano słusznie powiedziałaś: nic nie

wiemy o tym świecie, nic. A przecież naszym zadaniem jest się dowiedzieć. Dopuściliśmy do błędnego posunięcia. To moja wina. Teraz trzeba spróbować naprawić błąd.

— Jego już nie wskresimy...

— Takie ekspedycje, jak nasza, to zawsze ryzyko. Jesteśmy badaczami nieznanego. Za to obdarzono nas długowiecznością... według ziemskiego rachunku. Tych, którzy wracają...

— A tym, którzy giną, wznosi się pomniki, czy nie tak? Na co mu teraz pomnik?

— Uspokój się. Chodźmy stąd.

— Nie trzeba było ich ruszać, nie trzeba było, nie trzeba...

— Wtedy nic byśmy się nie dowiedzieli. I następna ekspedycja, która wylądowałaby tutaj, mogłaby podzielić los Sherry'ego. Zrozum... Sherry i jego towarzysze padli ofiarą czegoś podobnego. Do nas należało wyjaśnienie zagadki. Loor to zrozumiał.

— Ale niczego nie wiemy.

— No, teraz już coś wiemy. Tylko jeszcze nie wszystko jest zrozumiałe. Teraz trzeba starać się to zrozumieć...

— Jedno już rozumiałam. Nie nadaję się do takich ekspedycji. Na Ziemi pomylili się wybierając mnie. Dopóki wszystko było dobrze, jeszcze coś mogłam, a teraz...

— Twoja kariera gwiazdowego nawigatora dopiero się zaczęła. Najwspanialsze wyprawy jeszcze przed tobą. Nie spiesz się z decyzją. Tak czy owak ja i ty mamy jeszcze przed sobą drogę powrotną. Wystarczająco dużo czasu, żeby to przemyśleć. A jeżeli mimo wszystko twarde postanowisz odejść po powrocie, nikt cię nie będzie powstrzymywał. To jest prawo każdego z nas, niezależnie od tego, czy spędził w gwiazdnych rejsach rok czy tysiąc ziemskich lat.

— Co pan chce teraz zrobić?

— Pójdę na stanowisko dowodzenia. Dzisiaj wypada moja nocna wachta. Pomyślę, „poradzę się komputerów”. Idź odpocząć, a jutro rano podejmiemy decyzję.

— Jeśli można, zostanę z panem.

— Jak chcesz...

Po drodze do centralnej maszynowni przechodzą obok wewnętrznej kabiny śluzy wejściowej, gdzie godzinę temu znaleźli Loora.

— Popatrzmy jeszcze raz — proponuje kapitan.

Bezszelestnie odsuwają się masywne drzwi. Kabina pusta, pusta, tylko w kącie stoi nie sprzątnięty ekran, przynęta, źródło promieniowania ultrafioletowego.

Kapitan uważnie ogląda ściany, podłogę, aparaturę kontrolną.

— Nie, nic — mówi w zamyśleniu — żadnych śladów...

— Sądził pan, że znajdziemy szczątki ważek? — szeptem pyta Veil.

— Nie, oczywiście nie... Miałem' na myśli promieniowanie, które poraziło Loora. Może ono rzeczywiście było kierowane. Wynikałoby z tego, że atak przeznaczony był tylko dla niego...

— Może zajrzeć do komory zewnętrznej? — szepcze Veil.

— Tam jest teraz stężony azot. Zappełnił pomieszczenie wtedy, gdy włączyła się osłona i zamknęła się śluza wejściowa. Chyba nic tam nie znajdziemy, ale popatrzeć można.

Kapitan naciska przycisk nad drzwiami wiodącymi do zewnętrznej części śluzy. Słychać cichy syk. Potem w drzwiach rozbłyskuje zielone oczko i drzwi bezszelestnie odsuwają się.

Zewnętrzna kabina jest także pusta, a luk wejściowy szczelnie zamknięty. Drzwi do pomieszczeń, gdzie przechowuje się skafandry, zasunięte.

— Nic — mówi kapitan. — Tak jak myślałem...

— O — Veil się pochyla — niech pan popatrzy tutaj...

Ze szczeliny, na którą zachodzi brzeg masywnej osłony luku, sterczą końce przezroczystych skrzydeł. Kapitan też się pochyla, uważnie oglądając cieniutką tkanę o złocistych żyłkach.

— Mimo wszystko jedną przyduśilo — mówi z westchnieniem i chce dotknąć palcami skrzydeł.

— Lepiej nie — Veil chwyta go za rękę.

— Teraz to niegroźne. — Kapitan miękko odsuwa rękę Veil i ostrożnie dotyka przezroczystej tkanki końcami palców. — Mogą być niebezpieczne, kiedy są żywe... Mogą być... Na przykład, kiedy się bronią. Ta zginęła jak nasz Loor...

— Uwolnijmy ją stąd.

— Jutro... nie wolno otwierać nocą zewnętrznego luku.

Muzyka... Znowu ta muzyka... Veil chce się ocknąć i nie może. W końcu udaje się jej. Dziewczyna otwiera oczy. Leży ubrana na tapczanie w swojej kabine. Sądząc po godzinie, jest głęboka noc. Drzwi na korytarz nie domknięte. Muzyka ciągle dźwięczy gdzieś daleko. Ależ oczywiście, właśnie muzyka ją obudziła. Veil zaczyna sobie przypominać. Zasnęła w fotelu w centralnej maszynowni... Kapitan siedział przy pulpicie kontrolnym. To znaczy, że kapitan przeniósł ją tutaj. A Loor... Loor zginął wczoraj wieczorem w czasie tego okropnego eksperymentu. Zostali we dwoje z kapitanem. Ciało Looora leży w sąsiedniej kabine. Veil zrywa się. Nie może zostać tu sama. Musi iść do centrali. Tam jest kapitan... Trzeba powiedzieć mu o muzyce. A nuż nie słyszy? Ale jak przejść koło kabiny Looora? A może zawołać kapitana tutaj? Veil usiłuje włączyć ekran łączności wewnętrznej, ale ekran nagle rozjaśnia się sam. A na nim... twarz Looora. Veil drętwieje z przerażenia i patrzy w ekran szeroko otwartymi, osłupiałymi oczyma.

— Dość — mówi Loor z ekranu — wyłącz to w końcu... Dawno powinnaś iść spać.

Ekran gaśnie.

„No oczywiście, ja wciąż jeszcze śpię. Muszę się obudzić... Za wszelką cenę muszę się obudzić.”

Veil przymyka oczy bojąc się, że ekran znów się zaświeci. „Muszę się obudzić — powtarza — muszę się obudzić...”

Muzyka dźwięczy coraz głośniej. Melodia jest podobna do wczorajszej, ale pojawiły się w niej nowe odcienie i rytmy. Veil czuje, że nie ma siły oprzeć się tym dźwiękom. Jeśli już nie może się zbudzić, to lepiej, żeby była ta muzyka niż martwy Loor na ekranie...

Muzyka uroczysta i władczą, wprowadza ją precz z ciasnej kabiny. Znowu niebieskie równiny, zalane spokojnym światłem łagodnego słońca. Delikatne obłoki na głębokim zielonkawo-fioletowym niebie. Samotna postać w granatowej, oblamowanej złotą obwódka pelerynie. I znowu Veil nie może rozpoznać twarzy. „Czego chcecie ode mnie — pyta w myślach — czego żądacie ode mnie, od nas wszystkich?”

Postać w granatowej pelerynie stoi dalej nieruchomo, a muzyka narasta, zapełnia zapamiętałym brzmieniem bezgraniczne przestrzenie dookolnych równin i otchłan nieba do samych gwiazd. „Nie rozumiem — szepczą wargi Veil — nie rozumiem...”

Domyśla się już niejasno, że muzyka — to opowieść, zadziwiająca opowieść o tajemnicach dziwnego świata, który objawił im, przybyszom z Ziemi, tylko znikomą część swojej rzeczywistej istoty. W uroczystej, przepięknej melodii dźwięczy wezwanie i ostrzeżenie, miłość i wątpliwość, wyrzuty i obietnica nieznanego radości...

— Nie rozumiem — szepcze Veil, chociaż zaczyna się jej już wydawać, że jeszcze trochę, jeszcze niewiele — i zrozumie, wszystko zrozumie...

I nagle wszystko się urywa. Wokół ścian ciasnej kabiny, cisza — cisza, od której dzwoni w uszach. Drzwi na korytarz są uchylone. „Śpię czy nie?” — myśli Veil. Ze strachem spogląda na ekran. Ale ekran jest ciemny i niemy. Veil czeka kilka chwil. Żadnego odgłosu. Słychać tylko bicie własnego serca.

Veil podnosi się gwałtownie. Szybciej, do centralnej maszynowni, do kapitana. Wstrzymawszy oddech biegnie spiralnym korytarzem. Okrążenie, jeszcze jedno okrążenie.

Drzwi do centrali uchylone. W kabinie półmrok. Jarzą się tylko kolorowe skale przyrządów na pulpicie sterowniczym.

Przed pulpitem w fotelu ciemna postać. Człowiek siedzi plecami do drzwi, podparłszy głowę rękami. Zamyślił się, czy drzemie...

— To ja — drżącym głosem mówi Veil.

Człowiek w fotelu odwraca się szybko, słysząc cichy trzask. Jaskrawe światło zalewa maszynownię i Veil widzi... Lora.

Wyciągając ręce, jakby chcąc się bronić, Veil cicho osuwa się na podłogę.

— Nie rozumiem, co się z nią dzieje — powiedział Lora do kapitana, gdy wyszli z kabiny Veil — najpierw ten dziki nocny koncert, potem zjawia się w maszynowni i mdleje. I to zwariowane opowiadanie o jakimś eksperymencie, o mojej śmierci... Halucynacje. I ten niewytłumaczalny strach. Może zachorowała? Jakieś miejscowe wirusy. Wszyscy wychodziliśmy bez skafandrów.

— Ale przecież i ty słyszałeś muzykę, choć zupełnie niepodobną do tej, o której ona mówiła.

— Tak, ale...

— Ona twierdzi, że nie włączała żadnych taśm.

— Czy można jej wierzyć?

— A mnie i tobie?

— Co?

— Czy można wierzyć nam: mnie i tobie? Mam na myśli nasze wrażenia. Gdzie kryteria obiektywizmu?

— Mimo wszystko... jest nas dwóch.

— I nasze wrażenia też są różne. Ty słyszałeś w nocy coś, co nazywasz kakofonią. Ja nie słyszałem nic, spałem... A ona... W końcu jej opowiadanie ma wewnętrzną logikę: w niczym nie jest podobne do nierozumnych bredni.

— Co, chce pan powiedzieć, że tak właśnie było, jak ona mówi? Że pan ma luki w pamięci, a ja zmartwychwstałem?

— Tego nie mówię, ale coś mnie tu niepokoi. Trzeba szybko kończyć remont silników.

— W końcu Veil twierdzi, że remont skończyliśmy wczoraj.

— Chciałbym, żeby tak było. Pracy jest jeszcze na cały dzień, a bez Veil być może i na dwa dni. A na nią dzisiaj nie można liczyć. Gdybyśmy wiedzieli dokładnie, które kondensatory mają przebicia...

— Mam świetną myśl, kapitanie. Zrobimy teraz tak, że cały pański niepokój zniknie jak ręką odjął.

— Co chcesz uczynić?

— Nie ja, a pan to zrobi. Pójdzie pan do Veil i zapyta, które kondensatory wczoraj wymienialiśmy. Przecież ona utrzymuje, że wczoraj zakończyliśmy remont.

— Nie należy jej niepokoić. Niech odpoczywa.

— Chce pan zachować uczucie „zaniepokojenia”? Ja bym zapytał. W ostateczności rozwiązałyby się połowa wątpliwości, pańskich wątpliwości, kapitanie.

— Moich wątpliwości to nie rozwieje. To, co z nami się dzieje, zupełnie przypomina historię Sherry'ego. Na szóstej Beta Łabędzia, gdzie wylądowali, aby zlikwidować awarię, także znaleźli tylko owady...

— Nawiasem mówiąc, kapitanie — Lora uśmiecha się zmieszany — czy zechciałby pan rozpocząć pracę sam, a ja spróbuję złowić kilka egzemplarzy tutejszej fauny? Siatką nie będzie to trudno. To uspokoiłoby Veil. Jest śmiertelnie przerażona tymi ważkami. A sądząc z jej opowiadania, pan nie zezwolił mi wyławiać ważek z jeziora.

— I teraz nie zezwolę. Pójdziemy razem później. Przede wszystkim należy skończyć remont.

— Znowu dokładnie to samo, jak w jej opowiadaniu, kapitanie — Loor uśmiecha się, ale w jego oczach czai się złość.

Po południu Veil zeszła do przedziału mechanizmów kontrolnych. Kapitan w roboczym kombinezonie siedział wierzchem na osłonie jednej z maszyn elektronowych, pod samym sufitem komory.

— No tak — krzyknął z góry, zobaczywszy Veil — tylko ciebie tu jeszcze brakowało.

— Przyszłam pomóc.

— Obejdziemy się bez ciebie. Wracaj do swojej kabiny, albo wyjdź na mostek poodychać świeżym powietrzem.

— Nie chcę... A gdzie Loor?

— Na dole, sprawdza wzmacniacz pola magnetycznego.

— Po co? Tam jest wszystko w porządku.

— A skąd to wiesz?

— Już mówiłam... Zresztą, pan mi nie wierzy. — Veil przygryzła wargi. — Jak mam pana przekonać? A uszkodzone kondensatory pan wymienił?

— Jeszcze nie, trzeba je najpierw znaleźć.

— Wobec tego niech pan słucha. To K-1014 i L-0976 w czwartym obwodzie.

— Jesteś pewna? Dobrze, zobaczę, tylko skończę z tymi przewodami.

— A tam zepsuł się selektor, czy tak?

— Tak... To znaczy nie... Nic podobnego...

— Mówi pan nieprawdę. To selektor. On właśnie jest sprzężony z kondensatorem L-0976 czwartego obwodu.

— Idź do swojej kabiny, wróżko.

— Już idę. Dlaczego pan tak...

Kiedy drzwi przedziału mechanizmów kontrolnych zamknęły się za Veil, kapitan wytarł rękawem kombinezonu pot z czoła i chwilę siedział nieruchomo. Potem szybko zszedł na dół, otworzył osłony chodnika czwartego obwodu. Jakiś czas dosłownie przekopywał się w gęstej sieci różnorodnych przewodów, kwarcowych płytek, mikroskopijnych lamp kryształkowych. Kiwając z niedowierzaniem głową, wyciągnął dwie małe białe tabliczki, sprawdził ich numery i wsunął w kieszeń kombinezonu. Potem podszedł do ekranu urządzenia rozmówniczego.

— Loor! Co u ciebie słychać?

Ekran rozświetlił się i pojawiła się na nim twarz Loora.

— Wszystko w porządku, szefie. Kończę sprawdzanie wzmacniacza.

— Znalazłeś coś?

— Nie.

— Wylaż na górę. Złapałem właściwe kondensatory. Dwa w czwartym obwodzie. Zaraz je wymienimy i koniec.

— Wspaniale, kapitanie, i pójdziemy na ważki.

— No, to wszystko — powiedział kapitan, wyłączając aparaturę kontrolną. — Teraz „Wicher” przygotowany jest na każdą niespodziankę.

W trójkę — kapitan, Veil i Loor — siedzieli w kabinie sterowniczej statku.

— A co było potem, Veil? — zapytał kapitan po chwili milczenia.

— Potem sprzeczaliście się, jak je łowić, Loor poszedł z siatką na brzeg jeziora, a my zostaliśmy na mostku. Nic nie złowił, i wtedy pan...

— Jak możesz nie pamiętać tego wszystkiego, Loor?

- Żarty posuwają się zbyt daleko, kapitanie, domagam się...
- Znowu zginiesz, ale po raz drugi możesz nie zmartwychwstać. One po prostu nie zechcą drugi raz zawrócić czasu wstecz...
- Bzdura! To jest tylko chorobliwe bredzenie.
- Ale ona prawidłowo wskazywała numery przebitych kondensatorów. Skąd mogła je znać?
- Zbieg okoliczności.
- Sam w to nie wierzysz, Loor. — Głos kapitana zrobił się surowy. — Teraz zrozumiałem, dlaczego zginął Sherry i jego towarzysze. Wśród nich nie było Veil, i wszyscy, albo prawie wszyscy, byli tacy jak ty, jak ty...
- Nie możemy opuścić planety, na której odkryliśmy życie organiczne, nie zabrawszy ze sobą jego okazów.
- Okazów czego?
- Pan rozumie, co mam na myśli.
- A jeżeli spotkałbyś tu istoty podobne do nas, też zechciałbyś wziąć „okazy”?
- Chodzi tutaj o owady.
- Ale my mamy już wystarczającą ilość powodów, aby sądzić, że te „owady” to jakaś część czy jakiś przejaw wysoko zorganizowanego rozumnego życia. Życia absolutnie nie pojętego dla nas, ale najwidoczniej stojącego znacznie wyżej od ziemskiego. Można nawet przypuszczać, że potrafią one kierować czasem. My pierwsi, wylądowawszy tutaj, staliśmy się dla nich obiektem jakiegoś eksperymentu, przy czym był to eksperyment bardziej humanitarny niż nasz wczorajszy.
- To wszystko przypuszczenia, bazujące na bredniach, halucynacjach, to nie ma żadnej racjonalnej podstawy.
- Ale to, co ty nazywasz halucynacjami, prawdopodobnie jest związane z ich próbami nawiązania z nami kontaktu. Z nas trojga tylko Veil obdarzona jest zdolnościami do utrzymywania takiego kontaktu, tle nawet jej predyspozycje okazały się niewystarczające. Zrozumiałeś ich próby opacznie, a ja po prostu jestem nie podatny na ich sygnały. Nigdy nie pasjonowałem się muzyką. A muzyka, najwidoczniej, to jedyna nić dostępna naszemu i ich rozumieniu. We wszystkim innym jesteśmy sobie obcy. Oni to zrozumieli od razu. Veil zrozumiała przy ich pomocy, ja przy jej pomocy, tylko ty uparcie obstajesz przy swoim.
- Powtarzam, to wszystko hipotezy, w dodatku wątpliwe.
- Czego więc chcesz?
- Chcę dowodów, a do tego potrzebne mi są ważki.
- Ależ Loor — wtrącała się milcząca przez cały czas Veil. — To nie ważki. To coś zupełnie innego. Możliwe nawet, że nie owady. Do tej pory stoi mi przed oczami ognista trąba, w którą zamienił się jeden z rojów, atakowany wczoraj silnym promieniowaniem. Kapitan nie pamięta tego, ale ja... ja...
- O, kiedyż będę mógł się przekonać, że to nie owady...
- Wtedy będzie za późno, Loor... Przecież już znalazłam ciebie leżącego bez oznak życia, i kapitan... powiedział, że nie żyjesz. Byłeś martwy, Loor, zrozum to... Oni coś zrobili z czasem, prawdopodobnie po to, żebyśmy zrozumieli całą głębię swoich błędów. Jeśli szczęśliwie wrócimy na Ziemię, konfrontacja absolutnych liczników czasu z pewnością wykaże, że ten dzień, którego wy z kapitanem nie pamiętacie, a ja pamiętam, przeżyliśmy rzeczywiście.
- Słuchając was dwojga, sam wkrótce oszaleję! — krzyknął zapamiętałe Loor. — Zrozumcie, że ja nie wierzę, nie wierzę w te wszystkie bajania. Jestem uczonym, rozumiecie, uczonym...
- Bardzo dobrze — przerywa kapitan — czego więc chce uczony?
- Zabrać okazy przed startem. Kilka egzemplarzy...

— A jeżeli ta chwalebna chęć uczonego będzie zagrażała życiu wszystkich uczestników ekspedycji?

— A więc tego się boicie? Znakomicie! Ja zostanę tutaj z niezbędną aparaturą, pan wyprowadzi „Wichra” na jakąkolwiek odległą orbitę, a potem wróćcie i załadujecie mnie i moją kolekcję.

— Albo trupa uczonego.

— Niewykluczony jest i taki wariant. Potwierdzi on waszą rację.

— Ale one mogą po nieudanym eksperymencie unicestwić przy lądowaniu i „Wichra”, słusznie obawiając się kontynuacji podobnych eksperymentów.

— Dobrze, będziemy utrzymywać łączność radiową. Jeżeli po eksperymencie nie odezwę się, wyprowadźcie „Wichra” w drogę powrotną bez lądowania.

— Jak cię przekonać, Loor?

— Nie przekonacie mnie.

— Ależ to szaleństwo!

— Pan jest szaleńcem. Pan i Veil. Szaleńcy i tchórze.

— Opamiętaj się, Loor!

— Szaleńcy, powtarzam. Straciliście kontrolę nad własnymi wrażeniami, nie widzicie różnicy pomiędzy otaczającym was realnym światem a mirażami, które sami wymyśliliście...

— Dość! Jako kapitan zabraniam ci! To rozkaz...

— Może mi pan kazać zamilknąć, ale na Ziemi pan odpowie za to. I za lekceważenie nauki.

— Gdybyśmy byli w dwójkę z tobą, Loor — głos kapitana robi się ochrypliwy ze wzruszenia — zezwoliłbym ci na powtórzenie eksperymentu. Tacy ludzie jak ty i Sherry nie oglądają się na nic. Nauka nałożyła wam na oczy końskie okulary. Ale ryzykować jeszcze życiem Veil nie mogę i nie będę.

— Wymówka, kapitanie.

— Zrozum, Loor — cicho mówi Veil — przy takim postawieniu zagadnienia, przy takiej argumentacji obu stron — mam na myśli ciebie i nas z kapitanem — ja także poszłabym na ryzyko powtórnego eksperymentu, chociaż byłoby mi bardzo straszno, nie o siebie oczywiście, o ciebie... Ale jest jeszcze jeden aspekt naszego sporu: oni... My nie wiemy, co znaczy dla nich oddzielenie czy nawet unicestwienie kilku ważek. Być może, to także zagłada rozumnych istot.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz, oni powinni przerwać próby kontaktu... Innymi słowy, ważki dziś wieczorem nie pojawią się.

— Niezła myśl — kapitan unosi głowę. — To może rozwiązać spór. Jeśli mamy do czynienia z rozumnymi siłami, a ja w to prawie nie wątpię, i jeśli eksperyment Looora jest niebezpieczny dla nich, one nie przylecą dzisiaj. W ogóle nie pojawią się więcej, póki „Wicher” pozostaje tutaj. Kto wie — być może, ich pojawienie się należy wiązać właśnie z naszą obecnością? Być może wszystko, co widzimy dokoła — to tylko miraż, stałe złudzenie wzrokowe, wywołane przez nie znane nam siły. A ważki — to tylko część tego urojenia. Przecież wtedy, tego wieczoru, dzień czy dwa dni temu, powiedziałem wam nieprawdę... Pamiętacie, posłałem was, byście włożyli helmy, a sam zszedłem na dół. Zszedłem dlatego, że usłyszałem coś... Być może, była to melodia, o której opowiadała Veil. Nie wiem. One wtedy nie pograżyły się w wodzie. Po prostu rozpląnęły się w powietrzu wraz z cichnącą melodią. Zawołałem was, żeby opowiedzieć o tym, tam, na miejscu, gdzie to wszystko się zdarzyło, i nie odważyłem się... Ja też pomyślałem wtedy o halucynacji... Chciałem sprawdzić...

— Doprawdy źle, że nie opowiedział pan o tym od razu — szepnęła Veil.

— Doprawdy... Więc Loor, jeśli jeszcze nalegasz, możesz powtórzyć swój eksperyment. Ale spiesz się, słońce już nisko.

Loor uważnie spojrzął na kapitana:

— Sądzi pan, że ich nie będzie?

— Myślę, że nie.

— Jeśli tak, straciliśmy jedyną okazję...

— Ale prawdopodobnie zyskaliśmy coś innego.

— Co mianowicie?

— Przyszłość pokaże.

Ważki nie pojawiły się. I niezwykła muzyka nie zabrzmiała już więcej w nocnej ciszy. Prózno Veil i jej towarzysze wyteżali słuch... Rano okazało się, że zwiędły kwiaty i trawy, rzeki stały się płytkie, i tylko zimny, porywisty wiatr gonił chmury kłującego piasku. Kapitan poczekał jeszcze kilka dni. Z każdym dniem okolica przybierała coraz bardziej dziki wygląd, i gdy „Wicher”, wzbijając tumany piasku i pyłu, wzniósł się nad równinami, w dole, jak wzrokiem sięgnąć, rozpościerała się martwa pustynia.

— To wszystko bardzo przypomina zmiany pór roku — powiedział Loor obserwując przez wizjer niknącą planetę.

— To wszystko bardzo przypomina klęskę — wymruczał kapitan — zdaje się, że stracili wszystkie zainteresowania nami wcześniej, niż my zdążyliśmy cokolwiek zrozumieć.

Veil nic nie mówiła; myślała o dalekiej Ziemi — maleńkiej cząsteczce bezgranicznego świata, i o ludzkim rozumie — maleńkiej iskierce jakiegoś gigantycznego, zagadkowego ogniska...

Przetłumaczył Jerzy Kaczmarek